



ARTUR GRUSZECKI POD CZERWONYM WIRCHEM

11

— Słyszysz pani? Nasz Staszek, to jest kapitan okrętowy, jest panem koni, sani i podróży. Staszek rad zabawie, i chcąc się popisać ręcznością swych koni, trzasnął z bata.

Jechali szybko równą drogą, a Ryta wskazując na wysokopienny szpilkowy las, osypany śniegiem, powiedziała:

— Wandziu, ten las tak piękny jak w bajce... Spójrz!

Ale pani Wanda była bardzo daleka od wszelkich wzruszeń estetycznych, opanował ją lęk przed wywróceniem sań. Już widziała siebie poranioną, z rozbitą głową, z połamanymi nogami i rękami. Gorzko żałowała, że dała się namówić i miała żal do Ryty, że tak obojętnie, niemal lekceważąco, odnosi się do niej, że nic ją nie obchodzi stan jej zdrowia, a do pana Jedlińskiego czuła głęboką niechęć.

Dopędzono nowe sanie, Staszek zawołał z fantazją:

— Na bok z wołami!

Te słowa pobudziły ambicję woźnicy sań na przedzie i jako dobry furman, gdy widział możliwość wyprzedzenia swych sań, zajeżdżał drogę Staszekowi.

Pani Wanda czuła, że serce jej bije młotem, zabrakło jej tchu, nie mogła słowa wydobyć i blada czekała katastrofy.

Ale i Rycie te wyścigi były niemiłe i zwróciła się z prośbą:

— Panie Jedliński, nie wyprzedzajmy!

— A ino! — zaśmiał się Staszek, — tam zaraz szeroko, wyminę!

I wyminął, ale sanie wjechały na kupę kamieni i była chwila, że tylko dzięki szybkości ruchu sanie przeskoczyły szczęśliwie miejsce krytyczne.

Tego było za wiele na nerwy pani Wandy i popłynęły rześiste łzy. Zobaczył to pan Jedliński i zawołał żartobliwie:

— O, dzieciątko chce do mamusi! Boi się wilka z lasu!

— Wandziu! Co tobie? — zaniepokoiła się Ryta, — czy ty płaczesz?

Z wielkim wysiłkiem pani Wanda powstrzymała łzy i uśmiechając się blado, odpowiedziała:

— Razi mnie śnieg!

Co prawda nie było przy drodze płaszczyzny śniegowej, tylko na wirchach i ich zboczach błyszczał śnieg, lecz przyczynę łez przyjęto z dobrą wiarą, a Ryta dodała:

— I ja miewam łzy w oczach, ale przy mrozie lub przy silnym wietrze.

Jechali dalej, a pan Jedliński opowiadał w zabawny sposób, jak wpadł w zaspę śnieżną na Wołyniu i kończył:

— Tu w górach nie skończyłoby się na nurku w puchowym śniegu, możnaby się znaleźć o sto metrów niżej, na skalnych złomach potoku. Nieprawda Staszku?

— Bywa tak, bywa i nie.

— Ale nie na tej drodze, — odezwała się Ryta.

— Owszem i na tej. Jedziemy w góry, a każda góra ma swój spadek. Wkrótce będziemy przejeżdżali około takiego miejsca.

Pani Wanda zmartwiała. Ona ma przejeżdżać nad przepaścią, będzie musiała spojrzeć w przepaść głąb i bez osłony, bez oparcia zawiśnie

nad głębią. Ona czuje, że tego nie przeżyje, że rzuci się na oślep w tą przepaść i zginie.

Teraz chyba wyskoczy ze sań, lepiej potłuc się, złamać rękę, aniżeli ujrzeć przepaść i zginąć z roztrząskaną głową.

— Stój! — zawołała ochryplym, przerażonym głosem.

Staszek wstrzymał zlekka rozbiegane konie, odwrócił się i spojrzał zdziwiony na panie.

— Co się stało? — spytał pan Jedliński.

— Niech staną, — szepnęła zmęczona do Ryty.

— Stańcie! — krzyknęła Ryta energicznie.

Staszek wstrzymał konie buchające parą i czekał, co będzie.

— Wsiadę, — szepnęła pani Wanda, starając się napróżno wydobyć się z powijaków futra.

— Ależ Wandziu, tu taki śnieg głęboki. Co ci jest? Czy ci nie dobrze?

Pani Wanda pochwyciła to ostatnie pytanie jak deskę zbawienia i rzekła:

— Niedobrze mi!... Zemdleję!

Pan Jedliński zeskoczył z sań i z widocznym zaniepokojeniem mówił:

— Może natrzeć pulsy śniegiem?... Panno Ryto, może pani ma wodę kolońską?... Nie... prawda! Mam koniak! — sięgnął do kieszeni futra, i szybko otworzywszy flaszkę, podawał pani Wandzie.

Odsunęła flaszkę i siłąc się na spokój powiedziała:

— Wracajmy!... Nie mogę dalej jechać!

— Ależ to chwilowe osłabienie, — zawołał, — zaraz minie! Za pięć minut będziemy na miejscu... pani odpocznie... zabawimy się!

— Nie! Nie!

— Panno Ryto, niechże mi pani pomoże! I co powiedzą te panie, które za nami jadą! Zważy pani całą zabawę i trzeba będzie wyjaśniać, usprawiedliwiać.

— Wszystko jedno, nie chcę.

— Ależ to dzieciństwo, — śmiał się z przymusem — niechże się pani przezwycięży i nie pozwala tak hulać nerwom. No, pani Wando, trochę odwagi i spokoju.

Pani Wanda zrobiła przeczący ruch głową, a Ryta dodała:

— Jeśli pani Jerzycka nie chce, nie można jej zmuszać. My wracamy, a pana bardzo chętnie inne panie wezmą na sanie.

— O, co to, to nie! Jestem wiernym rycerzem dam mego serca, — zaśmiał się, — razem wyjechaliśmy, razem wrócimy, — usiadł na koźle, a pani Wanda prosiła:

— Tylko pomału! Tylko ostrożnie!

— Dobrze pani, pojedziemy jak z chorym. Na razie jechali spokojnie, a Ryta zaniepokojona, dopytywała się bardzo często pani Wandy o stan zdrowia i czuwała nad nią bardzo troskliwie.

Pan Jedliński nie brał zbyt poważnie tego nastroju i dla żartu zaczął ostrzegać Staszka:

— Uważaj, bo tam zakręcił!... Sanie naprzeciw wymiń na lewo!... Tam kupa szufu, objeżdż zwolna!

Tego rodzaju wskazówki śmieszyły Staszka, który pytał ze swej strony:

— A tam heń smerek, jak pod nim przejechać?... Łoni była dziura w tym miejscu czy zjechać? — i śmiał się.

Rytę bawiły te uwagi, nawet pani Wanda uśmiechała się, zaś pan Jedliński zwrócił się do niej:

— Pani, baczność! Jedziemy obok starej willi... ale zwolna, nie przewróci się!

Ta żartobliwa rozmowa stopniowo uspokajała wprawdzie panią Wandę do pewnego stopnia, ale stanowczo odmówiła wstąpienia do cukierni i rada była, gdy sanie stanęły u podjazdu zakładu.

— Przykro mi, że zepsułam panu zabawę, — powiedziała na pożegnanie.

— A mnie bardzo miło, że pani zdecydowała się na pierwszą przejażdżkę, druga, jestem tego pewny, pójdzie gładko i dobrze.

— Może... nie wiem.

— Już my zahartujemy nerwy pani, — kończył z uśmiechem.

Ten wypadek na wycieczce z panią Wandą stał się natychmiast głośnym w całym zakładzie. Rytę zasypywano pytaniami o szczegóły z nieukrywaną zazdrością, że ona właśnie wszystko widziała i słyszała, zaś o pani Wandzie mówiono z wielkim współczuciem, miłą bowiem jest rzeczą okazywać swe szlachetne uczucia i bez poprzedniej umowy okazywano jej wielką troskliwość.

Są ludzie, tak niewiasty, jak i mężczyźni, którzy przez całe swe życie robią na swem otoczeniu wrażenie małoletnich, dzięki swej uступliwości, grzeczności i niechęci do sporów w drobnych sprawach. Przy bliższym poznaniu wykazują oni samodzielność, stanowczość, która czasem przechodzi w upór.

Do takich niewiast należała pani Wanda. Mąż uważał ją za nieletnią, którą trzeba się nieustannie opiekować, a tak bliżsi, jak i dalsi znajomi nie szczędzili jej rad, ostrzeżeń i opieki.

W zakładzie, jako nad chorą na brak woli i skłoną do smutku, roztoczono drobiazgową opiekę, a że w każdej niewieście pokutuje duch lekarki i pielęgniarki, znajome panie czuły się w obowiązku czuwania nad nią.

Gdy nie jadła tyle, ile uważano za potrzebne dla niej, tak proszono, dogadywano, zachęcano, że dla świętego spokoju jadła mimo braku apetytu.

Gdy zamyślona milczała, wciągano ją natychmiast chociażby do najbanalniejszej rozmowy. Zmuszono ją do tłumaczenia się, dlaczego nie chce jechać sankami, dlaczego nie wychodzi na przechadzkę, nie używa werandowania, dlaczego nie siaduje w salonie, a pani Łacka, z tytułu kuzynostwa, zwracała uwagę na jej suknie i uczesanie.

Naturalnie wszystkie te troskliwości były robione przyjaźnie i w dobrym tonie, co nie przeszkadzało, że użyły i męczyły panią Wandę, i na obiady, kolacje lub do salonu szła jak na pańszczyznę.

I gdyby nie poczucie, że pobyt w zakładzie służy jej zdrowiu i powraca utracone siły, byłaby pani Wanda po kilku dniach próby opuścić Zakopane. Zostawała starając się nagiąć do tego życia i otoczenia.

Pan Jedliński, zepsuty swym powodzeniem u niewiast przebywających w zakładzie, w poczuciu swej wyższości i uroku, jaki wywierał na mamy i panny jako bogaty kawaler, uważał,